

## JUSUF IDRIS

Jusuf Idris (1927–1991) – to jeden z najbardziej uznanych egipskich pisarzy XX wieku. Z wykształcenia lekarz. Po kilku latach pracy w wyuczonym zawodzie zdecydował poświęcić się w zupełności literaturze. Swoje pisarskie aspiracje realizował przede wszystkim w formie krótkich opowiadań. Jest także autorem powieści obyczajowych i dramatów. W Polsce przekłady jego opowiadań ukazywały się przede wszystkim w „Przeglądzie Orientalistycznym” oraz „Literaturze na świecie”. Zostały także włączone do zbiorów *Skorpion* (PIW, 1970) i *Ziemia smutnej pomarańczy* (Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, 1983). W 1980 roku ukazało się tłumaczenie jego dłuższego opowiadania, *Egiptski erotyk* (arab. *Ka al-madina*, PIW, 1980), a w 2012 powieści *Grzech* (arab. *Al-Haram*, Wydawnictwo „Smak Słowa”). W pierwszej fazie swojej twórczości J. Idris podejmował temat życia ubogich środowisk społecznych w Egipcie, kreślił realistyczne opisy codziennych zajęć, scen ulicznych, wiejskiej rzeczywistości. W latach 60-tych zaczął koncentrować się na introspektywnej analizie swoich bohaterów, odszedł nieco od realizmu na rzecz symbolicznego przedstawiania dylematów moralnych i problemów politycznych, a także wprowadzając do świata przedstawionego elementy abstrakcyjne.

Opowiadanie *Snobizm według doktora Owaisa* (arab. *Snubizm*) powstało we wrześniu 1970 roku i weszło do zbioru „Dom pełen ciał” (*Bajt min lahm*. Dar Misr li`-t-tiba`a, 1982, s. 94–113, por. także wydanie *Al-Kisas al-kasira*, t. 1. Dar asz-Szuruk, 1410AH/1990, s. 107–128). Osią opowiadania jest zdarzenie, jakie miało miejsce w jednym z miejskich autobusów, którym jechał niejaki dr Owais, antropolog, profesor Uniwersytetu Kairskiego. Historia przypadkowego wplątania się profesora w incydent molestowania seksualnego w autobusie opowiedziana została w narracji pierwszoosobowej. J. Idris w sposób niezwykle żartobliwy przedstawił pretensjonalne maniery profesora, jego fiksacje (głównie na punkcie regulaminu – pragnie on obsesyjnie doprowadzić do zreformowania swojego wydziału) i historię z autobusu. Groteskowość postaci głównego bohatera, a także samej sytuacji w jakiej się znalazł, została osiągnięta między innymi poprzez wykorzystanie zróżnicowania arabszczyzny. Zestawienie dialogów toczonych w zatłoczonym, kairskim autobusie, dialektu – naturalnego mówionego „języka domu i ulicy” używanego przez pasażerów – z arabskim językiem literackim dr Owaisa (momentami bez żadnych zapożyczeń dialektalnych) karykaturalnie skonstrastowało dwa światy – wulgarny/uliczny i wyrafinowany/akademicki. Mimo nuty humorystycznej opowiadanie ma wydźwięk pesymistyczny. Zwraca uwagę na postępującą moralną i społeczną dezintegrację. Symbolem niekontrolowanej i nieokiełznanej siły rozpadu społecznego i zaniku norm ma być autobus będący miejscem uruchomienia się zachowań typowych dla specyfiki tłumu. J. Idris oparł się na ówczesnym stanie wiedzy z zakresu dynamiki grupy i procesów grupowych. Siła ta ukazana jest jako niemożliwa do zatrzymania, gdyż autobus – mimo tego, co się wydarzyło – nie przestaje służyć dr Owaisowi za środek transportu<sup>1</sup>.

B. P.-S.

<sup>1</sup> Zob. Paul M. Kurpershoek. *The Short Stories of Yūsuf Idrīs: A Modern Egyptian Author*. Brill, 1981; Nedal Al-Mousa. *A Social Psychological Interpretation of Yūsuf Idrīs's «Snobbism»*. „Arabic and Middle Eastern Literatures”, t. 2, nr 2, 1999, s. 173–175.

## SNOBIZM WEDŁUG DOKTORA OWAISA

Doktorowi Owaisowi przydarzyła się pewna historia. Najdziwniejsze jednak, że nie opowiedział jej nikomu, ani nie opowie jej też w przyszłości. Do dziś sprawa ta w żadnym stopniu nie zaprzęta jego uwagi. Według niego jest zupełnie bez znaczenia. Istotną sprawą zaś pozostaje regulamin. O tej porze roku to regulamin jest *ideé fixe* doktora Owaisa. O każdej porze roku, a i czasem co miesiąc doktor ma jakąś *ideé fixe*.

Przypadkowo zobaczyłem go, gdy pędził przez Tahrir<sup>2</sup>. Sam fakt, że biegł, niemal wywołał u mnie wybuch śmiechu. Nie chodzi o to, że doktor jest pełen dostojeństwa, ale że jest tego typu człowiekiem, który pamięta o tym nawet wtedy, gdy nikt nie patrzy. Jest w nim jakieś przesadne poczucie godności i śmiertelna powaga, które przysławiają jego autentyczny wygląd. Do tego stopnia, że ilekroć go widzę, zadaję sobie pytanie, jak on jest w stanie uwolnić się od tego wszystkiego leżąc z żoną w łóżku, albo gorzej, jak może kochać się z nią przy tym całym swoim dostojeństwie.

Nie widział mnie.... To ja go zobaczyłem i zawołałem. Zatrzymał się i odwrócił. Był udręczony, otarł pot. Ku mojemu zaskoczeniu po raz pierwszy nie miał okularów, tych odwiecznych, niezmiennych okularów. Bez nich jego twarz wyglądała jak przyrodzenie bez majtek. Podczas powitania i wymiany pytań, jak zdrowie, dokąd to i co słyszać, gapilem się na niego i dusiłem w sobie śmiech niczym pomrukujący wulkan... Nie chodziło tylko o to, jak doktor wyglądał bez okularów, ale o jego lewe oko, które znikło całkowicie, a wraz z nim część policzka i brew. Nie, oko nie znikło, tylko pojawiła się przy nim śliwka. To ona zdominowała oczodół i oko. I tkwiła tam, odstająca, niebieska i wydarna. Wyglądała niczym reflektor taksówki, rzucający niebieskie światło. Guz! Guz, którego przyczyną musiał być cios, fachowo wymierzony co najmniej przez mistrza boksu zawodowego wagi ciężkiej. A więc na rzeczy było lanie. Wulkan wybuchnęła i zacząłem się śmiać. Odkąd pamiętam, nigdy nie śmiałem się tak głośno i tak obrzydliwie. Doktor wciąż mówił, a ja nie słuchałem. Zatraciwszy się w śmiechu omal nie straciłem równowagi. Wreszcie spostrzegłem, jak jego usta zamknęły się, a on rozejrzał się wokół, następnie spojrzął na mnie swoim zdrowym okiem, pełnym autentycznego dzieciennego zakłopotania. Być może pytał w ten sposób, co takiego wywołało moje rozbawienie lub być może diagnozował stan mojego umysłu, który ocenił na poważny, skoro śmiałem się bez wyraźnego powodu. Straciłem panowanie nad sobą, zginałem się w pół i prostowałem, nie przestając się chichrać. Być może próbował pozbyć się zakłopotania otaczając mnie ramieniem i przyłączając się do mnie, choć jego rozbawienie było wyraźnie udawane. Zauważywszy, że ilekroć patrzyłem na jego lewą część twarzy, zanosłem się śmiechem, pojął wreszcie, co jest na rzeczy, uśmiechnął się – zapewne z przekonania o bezgraniczności mojej głupoty – i powiedział:

– A... to o to chodzi?!

I machnął ręką jak ktoś, kto odgania zabłąkaną muchę.

– Mój drogi, – rzekł – nie to jest ważne. Czy wiesz, co się stało w zeszłym tygodniu? Odkryłem, że przynajmniej trzech członków naszej kadry naukowej zawiązało mały spisek przeciwko projektowi regulaminu.

Siłą powstrzymałem śmiech ręką i gestem zapytałem o powód opuchlizny oka i utraty okularów. On znowu machnął ręką bez zainteresowania mówiąc:

---

<sup>2</sup> Midan at-Tahrir (Plac Wyzwolenia) – główny plac w Kairze położony na lewym brzegu Nilu (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

– To nic..., zdarzenie z zeszłego tygodnia. Ważne jest to, że spiskują przeciw temu regulaminowi od dziesięciu miesięcy. Wyobraź sobie, od dziesięciu miesięcy!

Wreszcie się odezwałem:

– Zdarzenie z zeszłego tygodnia... Kiedy? Jak?

– Mówię ci, że od dziesięciu miesięcy..., regulamin.

– Mam na myśli twoje oko.

– A nie, to taka tam historia, nie ma o czym mówić. Nieszczęśliwy wypadek, ot co. Ludzie to hołota, snoby.

A więc na rzeczy było lanie, które trafiło się doktorowi Owaisowi. Myśl, że ktoś mu przygrzmocił, nie była dziwna. Często pomysł taki przychodził do głowy jego kolegom z uniwersytetu, niektórym jego studentom, a nawet mnie samemu. Ciekawe, kto nas wszystkich w tym uprzedził.

Profesor... O tak, bez wątplenia profesor! Ku naszemu zadowoleniu..., kierownik katedry antropologii. Myśl o tym, żeby mu włąć, brała się z jego przesadnego poczucia siebie. „Przesadne” jest określeniem delikatnym, nie ma w nim żadnej przesady. Może nawet lepszym jest „paranoiczne” albo „zdradzające obsesję wielkości”. Poczucia, że oto reprezentuje boską opatrność nie po to jedynie, by naprawiać zepsuty świat, ale by – dzięki absolutnemu niebiańskiemu prawu reprezentującemu byt wyższy – zostać namaszczone na naprawiacza tego zepsutego świata. Uznajesz prawo do wolności – prawidłowo, ale strzeż się, jeśli chciałbyś je wykorzystać do krytyki poglądów doktora. Wolność to w istocie jego wolność w wyrażaniu opinii, a twoja w przystaniu na nią. A jeśli tego nie zrobisz, jeśli będziesz miał własne zdanie, to należysz do hołoty, którą on nazywa „snobami”.

– Wyobraź sobie, od dziesięciu miesięcy walczę o regulamin.

– Więc o to poszło? – zapytałem otwarcie wskazując na jego lewe oko, które sterczało jak u jednookiej baby.

Moje pytanie wywołało w nim uczucie pewnego rodzaju odrazy. W największym upale, na zatłoczonym chodniku, gdzie snuli się przechodnie, zaczął wylewnie opowiadać historię swojej walki o wprowadzenie regulaminu, który uporządkowałby sprawy studenckie i kadrowe na jego wydziale. Być może byłby to pierwszy krok do wprowadzenia regulaminu na uniwersytecie, a potem za pośrednictwem Narodów Zjednoczonych na całym świecie. Przez półtorej godziny słuchałem i słuchałem. Wykorzystywałem okazję, w której chciał odsapnąć lub próbował sobie przypomnieć jakieś imię i rzucałem krótkie pytanie, by dowiedzieć się czegoś na temat tego lania, które dostał i na temat tego kogoś, kto potrafił naruszyć naukowy nimb, jakim się otaczał i podważyć nienaruszalność właściwą prorokom, którą posiadał w oczach małuczkich. Ten ktoś dotarł, jak zresztą widać, do dobrze chronionej (okularami) istoty bytu doktora Owaisa i tak nikczemnie ją potraktował.

Historia regulaminu była zabawna od początku do końca. Sprawiała, że w wyobraźni widziałem kolejne akty tej sztuki, gdyż doktor tworzył mi ją z taką samą konsekwencją i dokładnością, z jaką Szekspir tworzył swojego słynnego *Juliusza Cezara*. A więc był tu spisek uknuty przeciw niemu, wszystkie jawne i tajne posunięcia, nawet Brutus był. Nie można zapomnieć o mowie Marka Antoniusza, naiwności ludu i o sztylcie. A sztylet przybrał ludzkie kształty – kształty samego dziekana.

Niemniej to jednak lanie wciąż pozostawało w centrum mojego zainteresowania, co być może potraktował jako przejaw mojego prostactwa. Dzięki przemyconym w rozmowie pytaniom, spiesznym odpowiedziom, które napawały go obrzydzeniem, a które rzucał mi niczym ochłapy, żeby być w stanie wysłuchać do końca historii regulaminu, dzięki temu wszystkiemu doszedłem do tego, co się stało. A stało się, oj stało.

Doktor Owais nie ma samochodu. Mimo iż jest profesorem nadzwyczajnym i kierownikiem katedry, jego pensja nie wystarcza, by brać taksówkę na długą trasę z domu na uniwersytet... To w autobusie 999 rozegrała się cała historia.

W zeszłym tygodniu autobus tradycyjnie jechał napakowany. Był w nim także doktor Owais ze swoją siejącą postrach walizką z papierami, którą trzymał w górze niczym czarną flagę. A były w niej najważniejsze sprawy jego życia... protokoły, raporty, notatki, szkice regulaminu. Pozbawiony dostojności, świętości i możliwości oddychania skulił się, by – pośród masy ciał, z których każde zatraciło swą odrębność – znaleźć sobie miejsce. Miejsce, które nie pomieściłoby wiązki dziesięciu trzciniowych gałązek. Wypukłości jednego ciała wpasowywały się we wklęsłości innego, by stworzyć idealną zbitkę ludzkiej materii. To tak jak chciwy kupiec upycha do *kajli*<sup>3</sup> ziarno pszenicy, by zmieścić się w niej dużo więcej niż faktycznie może (oczywiście wbrew prawu i zasadom).

Wydaje się, że kolejne szybko zadane pytanie zirykowało go, gdyż po raz pierwszy nachmurzył się, zapomniał na moment o regulaminie i wybuchnął:

– Słuchaj! Mów w moim imieniu. Masz prawo mówić. Opublikuj to w gazetach, do których masz dojście. Powiedz pasażerom autobusu 999, który dziewiątego tego miesiąca, o godzinie dziewiątej wyjechał z Tahriru, że nigdy nie uciekną przed karą... dziejową, ma się rozumieć, i zbiorowym sumieniem ludzkości. Kiedy jednostka popełnia przestępstwo, można dać temu racjonalne wytłumaczenie. Tutaj zrobiła to grupa, spontanicznie, bez wcześniejszego uzgodnienia, jednomyślnie, bez wahania i to w biały dzień. A skoro to zrobiła, stoimy przed antropologią, której rodzaj ludzki wcześniej nie znał... przed zjawiskiem, którego zbadanie mógłbym powierzyć jednemu z moich doktorantów. Ale powiedz im – dzięki jego podniesionemu głosowi wokół nas zdążyło już zgromadzić się kilku przechodniów, gdyż wydawało się, że zwraca się właśnie do nich; zadyszani, zażenowani, nic nierozumiejący stanęli i słuchali – powiedz im w moim imieniu, że nie uciekną przed karą... to nie prawo i nie państwo wymierzą karę, ale najpotężniejszy doktor Owais we własnej osobie.

Moje szturchańce i dawane znaki uświadomiły mu, że nie jest sam. Odwrócił głowę i powiedział jedno słowo: „snoby”. Ruch, jaki wykonał głową, sprawił, że niebieska śliwka zwróciła się w moją stronę i wydawało się, jak gdyby nią właśnie doktor na mnie patrzył. W przypiływie natchnienia doszedłem do tego, że prawdopodobnie nie pierwszy już raz patrzy na mnie i na innych – a czasem na to, co się dzieje – tą swoją nabrzmiałą i sterczącą śliwką. Doszedłem do tego, że często wykorzystywał ją do wyrażenia swojego stanowiska lub przyjęcia czyjegoś. Czyli... on ją zawsze miał, tylko wcześniej była w środku! Ten, kto mu przyłożył, sprawił jedynie, że wylazła na wierzch i stała się widoczna.

– Snoby! Ale to wszystko nie jest ważne... sprawa bez znaczenia. Problem w tym, że pierwszy projekt regulaminu przedstawiłem w bardzo demokratyczny sposób...

Ale... wróćmy do sytuacji doktora Owaisa w autobusie 999. Stał dokładnie przy pionowej poręczy oddzielającej pierwszą klasę od drugiej. Jak zwykle próbował uciec myślami od chwilowych niewygód podróży w swoje projekty i plany, jak przepchnąć regulamin, aż stało się... Gdy autobus szarpnął hamując, a może ruszając, doktor uświadomił sobie, że osoba, która przed nim stoi to kobieta. Samo słowo „stoi” nie jest odpowiednie, by opisać to, co odkrył. A odkrył mianowicie, że ich ciała są w takiej odległości od siebie, jaką wyklucza aura nienaruszalności. Według doktora ciała ludzkie otacza aura nienaru-

<sup>3</sup> *Kajla* – naczynie przeznaczone do odmierzania ziarna, miara egipska równa 16,5 litra.

szalności i aby w swojej naturze mogły one pozostać autonomicznymi jednostkami ludzkimi, pewne minimum odległości między nimi powinno zostać zachowane. Nie pierwszy raz przydarzyła mu się w autobusie taka sytuacja. Miał sposób na powstrzymanie ataku na nienaruszalność swojego ciała oraz ataku jego ciała na nienaruszalność innego. Otóż poruszał się tak długo, dopóki nie zdołał odwrócić się do takiej osoby plecami.

Próbował i tym razem, ale zobaczył, że nawet ruch szyją, czy odwrócenie głowy wydaje się operacją niewykonalną. W grę wchodziła tylko jedna jedyna rzecz. Potrafiłem sobie wyobrazić straszliwą walkę ciała, ducha i nerwów, jaką podjął doktor Owais, by wykorzystać walizkę, która była dla niego największą świętością, wziąć ją znad głowy, gdzie tkwiła niczym czarna flaga unoszona przez tonącego i całą siłą wsadzić pomiędzy swoje ciało a ciało kobiety. Początkowo ruchy doktora musiały być dla kobiety źródłem cierpienia, ale kiedy wreszcie zdała sobie sprawę, jaki cel mu przyświeca, sama zaczęła, niewątpliwie przez wdzięczność, podejmować absurdalny wysiłek, aby mu pomóc. Absurdalny, gdyż była gruba, faldzista i ociężała. Po usilnych staraniach operacja zakończyła się sukcesem, wszystkie dokumenty regulaminu, wszystkie jego sekrety zostały siłą sprasowane i zastosowane. Nie w znaczeniu realizowania regulaminu, ale w znaczeniu wykorzystania przedmiotu: papierów i regulaminowego dossier, zastosowania ich jako bariery, dzięki której w pierwszym rzędzie minimum potrzebne do zachowania nienaruszalności ciała zostało utrzymane. Kiedy tak się stało, kobieta przekręciła grubą szyję, on zaś spojrział na nią kątem oka. Spotkali się wzrokiem i kobieta wyraziła milcząco swą wdzięczność. Zadowolilo ono jego dumę, którą rzadko kiedy można zadowolić. Ten gest utwierdził go w przekonaniu, że postąpił właściwie. Kobieta wydawała się odzyskać swoją godność. Był to ten rodzaj godności, który jako jedyny do niego przemawiał. Jej twarz nigdy nie przywykła do uśmiechu, ale była przepelniona czymś innym, czymś na kształt wiary. Przekonywał siebie, że być może jest pobożna lub że być może jest poważaną żoną kogoś z kręgów religijnych, lub że być może pochodzi z rodziny, która wychowywała ją dobrze aż do trzydziestki, bo na tyle ocenił jej wiek.

Słuchając nieprzerwanie przez kolejny kwadrans próbowałem przyspieszyć rozwój wypadków, aby dowiedzieć się, jak powstał problem. Teraz już wiem, że wszystko ma swoją kolej. Kiedy historia regulaminu nabrała zawrotnego tempa, z rosnącą niecierpliwością pytałem i czekałem, pytałem i czekałem i ponownie pytałem, by w końcu dowiedzieć się, że to konduktor. Sprawa zaczęła się wraz z przyjściem konduktora. Jak wszedł? Jak przeniknął do środka? Jak udało mu się przejść w stan lotny, dla którego ciała nie są barierą? Tego nikt nie wie. Chodzi o to, że się przemieścił, a ponieważ to zrobił działając ze stałą, niemożliwą do odparcia siłą, spowodował w sprasowanych ciałach, wypełniających szczelnie autobus, zakłócenie podobne do tego, jakie powstaje w polu gwiazd i planet, gdy pomiędzy nimi przemieszcza się spadająca gwiazda powodując zmianę praw grawitacji. I tak, w sekundzie doktor Owais odkrył, że osoba stojąca przed nim... stała się mężczyzną. Mężczyzną o niskim wzroście, który rozdzielił doktora i kobietę. Doktor Owais musiał doznać ogromnej ulgi. Uwolniła go ona od wszystkich napięć i sprawiła, że raz jeszcze podniósł walizkę do góry... swoją czarną powiewającą na wietrze flagę. Dossier regulaminu było bezpieczne.

- Bezczelna hołota! Żałośni hipokryci!
- Nie rozumiem.
- Hołota!
- Co się stało?
- Proszę cię, daj już spokój z tymi bzdurami. Zajmijmy się tym, co ważne.

„Bzdury” zaczęły się wówczas, gdy z niezrozumiałych dla doktora Owaisa względów ten niski pasażer poruszył się. Gdy to się powtórzyło, doktorowi przyszła na myśl kradzież kieszonkowa. Odrzucił jednak ten scenariusz. Pieniądze miał w kieszeni marynarki, wysoko ponad ramieniem mężczyzny. Niemożliwe, by mógł wykręcić którąś rękę tak, by dostać się do kieszeni. Ach..., czyżby? Przecież wiedział, że takie rzeczy się zdarzają. Ma na to wyjaśnienia psychologiczne, kulturowe, etyczne – i oczywiście na pierwszym miejscu – antropologiczne. Mówił o tym Hopkins. Edward J. Edward przygotował na ten temat obszerne studium. Niemiecki badacz Richter włączył tę kwestię do nowego wydania swojej książki.

Ten niski, poruszający się mężczyzna, stojący teraz przed nim, bez wątplenia był łajdakiem i bez wątplenia nie znalazł się w tym miejscu przez przypadek. Wykorzystał chwilowe rozrzedzenie masy wywołane przez konduktora i zajął strategiczne miejsce za kobietą. Ale nawet to wszystko nie jest ważne. Wszystkie te głupstwa zmiecie kiedyś fala cywilizacji. Nawet jeśli krew zagotowała się na moment w jego bahrawijskich<sup>4</sup> żyłach, miał przecież ważniejsze sprawy.

Niemniej te ważniejsze sprawy został zmuszony odłożyć na później. Kobieta bowiem zaczęła się nerwowo wdrygać i poruszać z niespotykaną siłą, próbując obrócić się i zająć lepszą pozycję. W końcu, kiedy stało się jasne, że musi pozostać na swoim miejscu, nie mogąc ruszyć się ani na cal, z największym wysiłkiem przekreśliła głowę i powiedziała:

– Nie musisz na mnie tak napierać. Cofnij się trochę... O Boże!

A ponieważ wydawało się, że kobieta zwróciła się do doktora Owaisa, gdyż był wyższy od tamtego, nagle ściągnął na siebie wzrok całego autobusu. Z głowy wyparowały wszystkie sprawy, nawet regulamin. Szybko i odważnie zapytał:

– Pani kieruje te słowa do mnie?

– Nie – odpowiedziała głośniejszym głosem – mówię do tego młodzieńca, który stoi za mną.

Życie, które uleciało z doktora Owaisa, powróciło i odetchnęło z ulgą. Mężczyzna chowający głowę za kobietą zaczął mówić... jego słowa przypominały nieprzerwany deszcz pustych puszek po napojach, które przelatywały z hałasem jedna po drugiej, upadały i wydawały pusty blaszany dźwięk. Większość z tych słów była zrozumiała.

– Po cóż tak paplesz? Specjalnie to robię? Jak się mam cofnąć? Trzeba nam wytrzymać, wszyscy tak stoimy i każdy zajmuje się sobą. Trochę tolerancji, ty... panna z piórem na głowie.

Jakoś tak to szło.

Kobieta, dobrze wychowana, zamilkła. Autobus przestał się gapić. Doktor Owais postanowił odciąć się całkowicie od tego, co się działo i przejść w myślach do tego, co będzie mówił na ważnym, zwoływanym za godzinę spotkaniu.

Stało się jednak tak, że Owais – damanhuryjczyk<sup>5</sup> od czasu do czasu wyciągał szyję i odwracał głowę, by mieć ogląd sytuacji i pewność, że mężczyzna całkowicie zrezygnował z nękania kobiety. Ów Owais – damanhuryjczyk zapuszczał żurawia raz po raz, aż w końcu troski Owaisa – profesora antropologii i autora planu regulaminu odeszły całkowicie w niebyt. Zaś mężczyzna, mimo tego, co się stało, spróbował znowu. Był dużo śmielszy i doprowadził w końcu do tego, że kobieta od czasu do czasu przekreślała grubą szyję i rzucała gniewne i niespokojne spojrzenia, pełne odrazy i nadziei. Wreszcie z jej oczu trysnęły łzy, milczące i duże jak grochy. Widać było, że w swoim

<sup>4</sup> Arab. *bahrawi* (l. mn. *bahariwa*) – mieszkaniec Dolnego Egiptu.

<sup>5</sup> Damanhur – miasto w Dolnym Egipcie, w północnej części Delt.

życiu nie doświadczyła jeszcze takiego cierpienia. Odczuwała ten rodzaj paralizującego bólu, w którym człowiek nie jest w stanie krzyknąć, mówić ani nawet powiedzieć 'nie'. Mężczyzna zaś, nie robiąc sobie nic z tego wszystkiego, jak gdyby utracił jednocześnie swoją człowieczeństwo i zwierzęcą naturę, pochłonięty całkowicie obrzydliwą przyjemnością niezdolny był by dostrzec okropny ból, którego doświadczała kobieta. Doktor Owais musiał zmobilizować swoje naukowe ego przy użyciu wszystkich własnych sił, także tych intelektualnych, by móc zachować postawę nieangażowania się i natychmiast zając się pełnią misją społecznego i moralnego reformatora. Codzienne sprawy, czy nagłe interwencje nie powinny zaprzętać głowy naukowca takiego jak on. Zadanie człowieka nauki jest dużo bardziej uniwersalne. Chodzi o to, by zmienić całą ludzkość. Jeśli podejmie się misji w stosunku do pojedynczej osoby, pojedynczego przypadku, wówczas ugrzęźnie w tym, w czym grzęźnie zwykły człowiek, a misja zostanie zaprzepaszczone na zawsze. Jest naukowcem i jako naukowiec ma prowadzić nieangażowaną obserwację, tak jakby obserwował doświadczalne myszy. Cała jego uwaga powinna być skupiona na tym, by zinterpretować doświadczenie, by dać właściwe, naukowe wyjaśnienie zjawiska. A nie mieszać się po to tylko, by wybawić jedną mysz z chwilowej opresji, którą funduje jej druga. Od tego są gangi, prawo, policja i waleczne podrostki. Zresztą wszyscy oni w eksperymencie naukowym także są myszami...

Tym samym doktor Owais nie zdziwił się – chociaż uważał to za naprawdę oryginalne odkrycie – kiedy zauważył, że nie jest jedynym, który obserwuje całą tę akcję, że są także i inni, którzy ukradkiem rzucają spojrzenia. Natomiast – i to jest rzeczywiście zaskakujące – niektórzy znajdowali w tym przyjemność, oczekiwali rozwoju wypadków, przejawiali entuzjazm widza, a nawet kibica. Tak, sprawa przybrała niemal charakter rozrywki...

Gapiów przybywało. Widać było, jak mężczyzna wyciągnął ręce i palcami, które drżały mu – nie ze strachu, lecz z podniecenia – zaczął po trochu podnosić kobiecie sukienkę, zbierając materiał w dłoni i jednocześnie obłapując ją coraz mocniej.

Autobus był szczelnie wypełniony, wszyscy milczeli, hałas wąskich ulic, przez które przejeżdżał wpadał do środka i niczym morskie fale zalewał jego ciszę. Wszyscy pasażerowie zamknięci byli w swoim świecie. Nawet ci nieliczni, którzy obserwowali całe zajście, a wśród nich doktor Owais, także zanurzyli się w swoim własnym świecie. Jedno zdanie, które padło, zdanie poranione przez gniew, przytłumione przez łzy, ukryte, jakby wychodziło z samych koniuszków palców u nóg, prawdziwie zaskoczyło wszystkich:

– Ludzie, ratujcie..., on mnie rozbiera!

*Krzyk..., coś podobnego do krzyku..., chwilowa konsternacja..., przeciągły gwizd konduktorskiego gwizdka..., kierowca w momencie wciska pedał hamulca.*

Pod wpływem nagłego hamowania zbitka ciał gwałtownie przetoczyła się do przodu, gdy autobus się zatrzymał, z jeszcze większą siłą rzuciło ją w tył. W ten sposób sytuacja całkowicie uległa zmianie. Nikt nie zajmował już dłużej swojego dawnego miejsca. Doktor Owais znalazł się w samym środku drugiej klasy, mając ponad głową koszyk – niewątpliwie z jakąś świeżą rybą – przez którego pęknięcia sączyła się woda.

– Halo, co z panią? Coś się stało?

Kobieta – wybuchnąwszy płaczem przemieszonym z gniewem – wskazała na mężczyznę, który wcześniej stał za nią, a który teraz znalazł się w klasie pierwszej i dzielili go od niej inni pasażerowie:

– To on..., ten skurw..., to on był.

– Ja?

Tym razem nie był to brzęk puszek, ale wrzaskliwy pisk, a może wycie hieny lub ryk lwa:

– Ja? Ja, niewychowana babo?! – ruszył w jej kierunku i spoliczkował ją małą szorstką dłonią.

Ktoś spytał:

– Jesteś pewna? Nie wolno fałszywie oskarżać ludzi.

Otworzyła usta, by coś powiedzieć... Tym razem wysoki, nieznośnie wysoki mężczyzna, jeden z tych, którzy obserwowali zajście, a których widział doktor Owais i był pewien, że widzieli wszystko, ryknął gniewnie:

– Pomiędzy wami było siedmiu pasażerów. Stałem za tobą i to ty ocierałaś się o mnie... Daj sobie spokój...

Poczuła kolejne uderzenie otwartą dłonią... i pchnięcie, w przybliżeniu nienawisci w ruch poszedł łokieć, pięść, kolano.

– Należy się jej! – włączyli się kolejni – Najpierw robią, co robią, a potem mówią o honorze.

Jakaś kobieta skomentowała:

– Bardzo zależy jej na honorze, co? Mogła wytrzymać i obesłoby się bez skandalu! *Szturchaniec, pchnięcie ramieniem, mocniejsze pchnięcie, z wielu stron, schody. Pchnięcie w plecy i jest na ziemi. Leży na chodniku i się nie rusza. Pasek od sukienki rozwiązany, guziki rozpięte, pończochy zsunięte. Tasiemka, która spinała jej włosy, rozwiązana. Włosy sterczą w każdym kierunku niczym suche źdźbła słomy.*

Ledwie tylko znalazła się na chodniku, w autobusie ucichły wrzaski, każdy odetchnął z ulgą... Bogu niech będą dzięki!

Sprawa wymagała od doktora Owaisa stalowej woli, by oprzeć się jakimkolwiek własnym uczuciom zaangażowania. Może skoczyć mu ciśnienie, może wybuchnąć gniewem, może zdjąć go litość! Ale w swojej roli naukowca musi pozostać obserwatorem, aby widzieć, dostrzegać, rejestrować. Musi zachować odpowiednią przestrzeń umysłową umożliwiającą poznawanie i stawianie pytań. A pytanie, które go teraz dręczyło, było okrutne i bezlitosne. Z wyjaśnieniem anormalnego zachowania pasażera nie ma kłopotu. Mężczyzna jest chory i potrzebuje lekarza. Wyjaśnienie sprawy gapiów, którzy czerpali przyjemność z całego zajścia jest jeszcze prostsze. Zaskakujące nie jest także to, że kobieta szukała pomocy i u nikogo jej nie znalazła. Dręczące go pytanie dotyczyło pragnienia, które z pewnością wyrosło spontanicznie – i u każdego z osobna – pragnienia, by udowodnić, że kobieta kłamie i zaprzeczyć całej sprawie tak, jakby jej w ogóle nie było. A nawet więcej, by wymierzyć jej zbiorową karę, gdyż otworzyła usta, przemówiła, miała odwagę szukać pomocy i wskazać sprawcę.

W sekundzie przez umysł doktora Owaisa przewinął się dorobek trzydziestu lat wiedzy, czytania i specjalizacji. W sekundzie jego zdolności do dedukcji i holistycznej percepcji rozbłysły z całą mocą. Również w sekundzie uświadomił sobie, że nie znajduje żadnej odpowiedzi i – polegając tylko na biegu swego umysłu – nie będzie w stanie do niej dojść.

Po raz pierwszy od incydentu, który wydarzył się w autobusie, sprawa zaczęła nabierać dla niego znaczenia. Zdał sobie nagle sprawę, że mierzy się z realnym zjawiskiem, które być może nawet dotyka samego sedna jego specjalizacji. I nie dysponuje żadnym jego wyjaśnieniem.

Jeśli pragnienia są naszymi podstawowymi motywami do działania, to pragnienie poznania było podstawową siłą napędową doktora Owaisa..., było najsilniejsze ze wszystkich pragnień. Wystarczyło, że je odczuł, a zapomniał natychmiast o wszystkim. Ten



magnetyzujący cel..., poznanie, wyrastał przed nim i nie mógł się mu oprzeć. Za parę chwil myszy już nie będzie, a odpowiedź przypadnie, wyboru musi dokonać teraz albo nigdy.

I nagle, w autobusie, w którym wciąż panowała ciężka atmosfera, rozległo się chrząknięcie. Akcent doktora Owaisa i tonacja jego głosu nie miały związku z obecnymi krzykami i wrzawą. W taki sam bezceremonialny sposób, w jaki zwracał się do swoich studentów, kiedy brał ich za ramię, by wyznali mu różne rzeczy, rzekł:

– Proszę pozwolić mi coś powiedzieć. Najpierw chciałbym się przedstawić... Jestem doktor taki a taki, profesor uniwersytecki na wydziale takim a takim... (i tego typu informacje). Proszę, nie sądźcie, że chodzi mi o to, by ingerować w wasze prywatne sprawy (w tym miejscu ciekawość w autobusie osiągnęła zastraszające parametry). Jestem profesorem antropologii i w żadnym razie nie interesują mnie moralne i prawne aspekty tego, co się stało. Interesuje mnie aspekt naukowy (ciekawość ustąpiła miejsca niepewności). Zdarzyło mi się stać wystarczająco blisko tej nieszczęsnej kobiety (kierowca miał już ruszać, ale zmienił zamiar, konduktor przestał zajmować się zabezpieczaniem zebranych pieniędzy), by widzieć wszystko i widzieć, że oprócz mnie inni widzieli to samo. Ale to też mnie nie interesuje.

Jakiś mężczyzna o szpakowatych włosach, oparty o pionową poręcz na środku autobusu rzucił okiem na Owaisa, a jego głos wyrażał pewnego rodzaju zdziwienie przemieszane z napomnieniem:

– Panie, o co biega? Nie mamy czasu, co chcesz powiedzieć?

– Chcę wiedzieć, co was zdenerwowało w zachowaniu kobiety i w tym, że oskarżyła pewnego jegomościa. Dlaczego byliście rozdrażnieni? Nawet panie... Dlaczego was zdenerwowała? Proszę o odpowiedź wyłącznie z przyczyn naukowych. Dla moich badań jest to niezwykle istotne.

Wszyscy zamilkli patrząc ze zdziwieniem i ustalając, czy jest pomyłony, czy nie i czy powinni być wobec niego wyrozumiali. A jeśli pytał ich na poważnie? A może swoim pytaniem zastawiał na nich sidła?

– Mówisz, żeś widział i że myśmy też widzieli. A coś ty to widział, a my z tobą? – odezwał się nagle szpakowaty gość.

– Widziałem, co się stało. – odrzekł powoli.

– A co się stało? Widziałeś, że coś się stało? Myśmy nie widzieli. A tyś widział?

– Boże, wszystko to... i nic się nie stało? A w takim razie kobieta...

– Kłamie.

– A ten pan?

– Nic nie zrobił.

– A ja?

– Ewidentnie oszust z ciebie.

Powiedział to młody człowiek, który tkwił wewnątrz zbitej masy pasażerów, blokującej tylne drzwi. Nie trwało długo, jak wyodrębnił się z niej i nieprzerwanie sunąc w kierunku doktora Owaisa mówił coraz głośniej:

– Tak przy okazji, jestem studentem na wydziale takim a takim, na uniwersytecie takim a takim, o którym ten tutaj mówił. Znam wszystkich profesorów i asystentów. Przysięgam na Boga, że nie ma na naszym wydziale profesora o takim nazwisku. I nigdy przedtem nie widziałem tego typka. Czy on wygląda na profesora uniwersytetu?

Prawdę mówiąc, ten, kto zagłębiłby się w kwestię ubioru doktora Owaisa (i ludzi z jego środowiska), którego *idée fixe* i naukowe zainteresowania antropologią nie pozo-

stawały czasu na to, by zadbać o wygląd, uznałby bez większych trudności, że strój ten może należeć do każdego, ale na pewno nie do profesora, wykładowcy czy kogokolwiek, kto ma jakiś związek z uczelnią wyższą.

– Tak przy okazji, to on stał za nią – krzyknął ktoś inny.

– Dokładnie tak, widać, że to sprośny fiut.

Dobry Boże! Sprawa zaczęła rozwijać się w zastraszającym tempie.

– Drodzy państwo, nie obwiniam nikogo, stawiam jedynie naukowe pytanie.

– Naukowe, ty skurw...

Cytując samego doktora Owaisa:

– Poczulem, jak coś grubego i twardego jak kauczuk spadło jakby z wysokości naszej wieży<sup>6</sup> i od tyłu uderzyło w moją szyję. Był to pierwszy cios w kark, jaki mi zadano w całym moim życiu. Nie czulem fizycznego bólu. Nagle poczułem, że moje człowieczeństwo rozpadło się na kawałki. Wszystko, co stanowiło o moim jestestwie, poszło w rozsypkę i opadło pod stopy. Moja godność, moja historia. Wszystko to, czym jestem, runęło i zostało podeptane. Po pierwszym ciosie w kark przyszedł drugi, trzeci, na twarz i głowę. I przyszły kopniaki. Ostatnią rzeczą, której miałem świadomość, to rozgniatanie moich okularów i to, że kilka odłamków szkła wbiło mi się w skórę, a potem do lewego oka. Zaczęło puchnąć w przyspieszonym tempie i omal nie pękło jak balon. Mój drogi, to jest sprawa bez znaczenia. Już o niej zapomniałem. Koniec. Dlaczego z uporem mi o tym przypominasz?

Dłużej nie mogłem... Po raz pierwszy zastąpiłem mu drogę używając tonu nieznośnego sprzeciwu:

– Chcę wiedzieć, co było potem.

– Nie ma żadnego „potem”, nie ma nic! Ocknąłem się leżąc na chodniku, obok kobiety. Autobus już dawno odjechał, przyjechał następny. Koniec tematu.

– Jaki koniec?!

– Koniec końców zdecydowaliśmy się zrobić u dziekana zebranie w sprawie regulaminu.

– Jaki dziekan? Jaki regulamin? Jak zostałeś pobity, to co? Co zrobiłeś? Zawiadomiłeś policję? Złożyłeś skargę? Napisałeś w odpowiednie miejsca? Czy...?

– Nie ma „czy”, nie ma nic. Na kogo mam składać skargę? Na autobus? I dlaczego mam to robić? Po prostu się nie zrozumieliśmy. Nic więcej. Moje pytanie miało charakter naukowy, oni pomyśleli o czymś innym. Zwykle nieporozumienie. Trochę snoby. Prawdziwymi winowajcami są spiskowcy, którzy wystąpili przeciwko mnie na zebraniu. Tych znam dobrze, wiem, dlaczego się sprzeciwili, kto za nimi stoi i jaki był cel spisku.

Miarka się przebrała. Poniosło mnie i wybuchnąłem. Jedynie na to było mnie stać. Słowa wyrzutu i gniewu wydobywały się gwałtownie z moich ust, a on słuchał. Słuchał bez żadnego wyrzutu i gniewu. Patrzył jedynie ze współczuciem niczym Arystoteles, który bacznie przygląda się greckiemu wieśniakowi, gdy ten krytykuje go z pasją i obrzuca obelgami za słynny kwadrat, który stał się udręką ludzkości.

Wciąż słuchał, aż sam z siebie zamilkłem. Poklepał mnie po ramieniu jak gdyby pocieszał dziecko, w towarzystwie którego zmarnował swój czas i rzekł:

– Przepraszam, ale muszę cię zostawić, bo mam zebranie... Teraz dopiero dotarło do mnie, że to nie miało sensu. Tyle próbowałem cię przekonać – jako że jesteś z gatunku

<sup>6</sup> Chodzi o wieżę zegarową Uniwersytetu Kairskiego (usytuowaną nieopodal budynku Wydziału Humanistycznego), która została wzniesiona w 1937 roku i liczy 40 metrów wysokości.

tych, którzy interesują się problemami ogółu – że powinieneś stanąć po stronie słusznej sprawy, to znaczy sprawy regulaminu. Jednak widzę, że oboje straciliśmy czas. Pozwolisz? Mam autobus.

– Boże! Ty wciąż jeździsz autobusem?

– Oczywiście.

– A 999 też?

– Tym i innymi. Czemu nie?

– A dalej prowadzisz eksperymenty i pytasz i ...?

– Nie, absolutnie. Co prawda mam w głowie taki jeden, tak, ale on jest do przeprowadzenia tylko na terenie uniwersytetu. Jestem poza tym wszystkim, nie widzę tego, co ty.

– Nie słyszysz wołania o pomoc?

– Absolutnie, najwyraźniej ta kobieta była ostatnią, która wołała o pomoc i była wyjątkiem. Ja byłem ostatnim idiotą, który mówił, że cokolwiek widział... To znaczy, ostatni raz w autobusie ktoś oberwał. Teraz jedziesz 999 lub innym, widzisz, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. Gra toczy się w milczeniu, nikt nie łamie jej zasad. A podstawowa zasada jest taka, że nie widzisz. Jeśli widzisz, to tak jakbyś nie widział. Jeśli coś przydarzy się komuś innemu, nie twój interes. Nawet jeśli przydarzy się tobie, to tak jakby się nie przydarzyło. Czyż to nie genialne?!

Spojrzałem na niego zaskoczony. Nie był to zafiksowany Owais, ani prorok zabiegający o uzdrowienie świata, ani też bohater walczący o regulamin. Możliwe, że moje zaskoczenie było dużo większe niż jego wówczas, gdy przed tygodniem przydarzyła mu się ta historia.

– Pozwolisz..., przyjechał mój 999. I nie martw się o jutro. Kiedy regulamin zostanie zatwierdzony, zobaczysz!

Chwilowo, na swój sposób pozbył się ogromu własnego dostojeństwa i zaczął biec, a jego język mimowolnie powtarzał słowo „snoby”. Jednym susem znalazł się na schodach autobusu. Wtopiwszy się w uwieszonych u drzwi pasażerów, tylko co złapał równowagę i chwycił się poręczy, a zwrócił się w moją stronę, skinął na pożegnanie swoją czarną walizką, a na jego ustach trwał ten sam współczujący uśmiech Arystotelesa, z którym patrzył on niegdyś na protest greckiego wieśniaka przeciwko słynnemu kwadratowi.

Z j. arabskiego przetłumaczyła  
*Bożena Prochwicz-Studnicka*